

Leon Weintraub

część II z II

Sygnatura notacji: **N0773**

Data urodzenia: **01.01.1926 r.**

Data nagrania: **17.09.2025 r.**

Miejsce nagrania: **Hotel Novotel, Kraków, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **część I: 63 min, część II: 63 min.**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Leon Weintraub: Rano przyjeżdżał kierownik robót z motocyklem z przyczepą, siedział tam wartownik. Mnie woływano z baraku i zajmowałem miejsce na siodełku za kierownikiem robót. Jeździliśmy na plac pracy przygotowywać miejsce, czyli wyznaczyć miejsca na te słupy, wyłożyć przewody, umieścić tam izolatory. Potem tam była grupa robocza, która umacniała te słupy. Ja dostałem słupolazy, które były przyczepione do butów, mogłem się wdrapać na tym słupie, pas. Oplotłem słup tym pasem, mogłem oprzeć się i miałem ręce wolne do pracy. Wciągałem przewody, najpierw izolatory wkręcałem, potem przewody umacniałem i tak od słupa do słupa. To miało zalety, pierwszą, że mnie nie kontrolowano przy opuszczaniu obozu, bo byłem jako indywiduum wyciągane z baraku. To mogłem sobie pozwolić, żeby mój koc złożyć na taki trójkąt przez piersi i z tyłu kawałkiem drutu połączyć 2 końcówki, żeby chociaż chronić piersi, bo już zima się robiła, listopad, grudzień, styczeń. Gdyby mnie na tym złapali, tobym dostał 25 uderzeń na gołe siedzenie. A drugie pozytywne z tego zajęcia było to, że ci esesmani, przeważnie młodzi, nudzili się. Brał swój karabin za lufę i szedł, i machał. Jeżeli głowa więźnia znalazła się w promieniu tej kolby, tym gorzej dla tej głowy, bo kolba została nieruszona, ale głowa nie. Pęknięcia czaszki, trup na miejscu. I dziennie prawie nosiliśmy ze sobą z powrotem do obozu, bo tym razem pieszo, a nie tym motocyklem, nosiliśmy ze sobą jeden, dwa albo trzy trupy. Ale to już był koniec wojny, bo mam pismo z archiwów Bad Arolsen w Niemczech, gdzie w latach 50. przesłano wykaz, gdzie mnie znaleźli, gdzie rejestrowano. I tam pisze, że 25 lutego 1945 roku zostałem dostarczony, eingeliefert, do obozu koncentracyjnego Flossenbürg i zarejestrowany pod numerem 82707. I poniżej linijka: „22 marca 1945 roku z obozu koncentracyjnego Flossenbürg został transportowany do Offenburga, podobozu obozu koncentracyjnego Natzweiler-Struthof”. I z tego obozu w Flossenbürgu, bo tym razem po tym długim 3-dniowym marszu śmierci nas wywołano na plac apelowy, takie miejsce, gdzie nas ustawiano rano i przychodził esesman, nas obliczał,

czy się suma zgadza więźniów. Suma mówię dlatego, że musieliśmy rano wszystkie trupy wynieść i ułożyć przed wyjściem. Bo z tego obozu Flossenbürg mam w pamięci dwa zjawiska, dwa wydarzenia. Najpierw jak żeśmy byli umieszczani w tych barakach na wąskich pryczach w czwórkę, z nogami, stopami na waleta i budzić się rano z zimną stopą przy policzku, to było bardzo przykre obudzenie. A drugie to był chłód, chłód, bo to było blisko gór, wiatr wiał stamtąd. Dzisiaj nawet latem może być bardzo zimno. Żeby ograniczyć chłód, gromadziliśmy się na tym placu apelowym po wyliczeniu. Ja byłem w kwarantannie, nie miałem żadnego zajęcia. Dołączali dalsi więźniowie i dalsi więźniowie. Zrobił się tłum, grupa ludzi, która zaczęła się nagle poruszać po tym placu, ponieważ ci siedzący, mieszczący się w środku, w rdzeniu tej grupy ludzi, chcieli się wydostać na zewnątrz, bo przez ucisk prawie nie mogli oddychać. Ale ci na zewnątrz, te zewnętrzne kręgi miały plecy wystawione do chłodu, chciały być otoczone ciałami więźniów, żeby ograniczyć chłód na plecach, chcieli wejść do środka. To się poruszało po tym placu apelowym, apokaliptyczny obraz. Ten Flossenbürg to były i kamieniołomy, gdzie około 30 000 ludzi zginęło nie z rąk esesmanów, ale raczej w wypadkach przy pracy. Nie mieli wyposażenia odpowiedniego i taki blok skały przytłoczył kogoś, to był na miejscu trup. Obok była także fabryka części zapasowych do samolotów Messerschmitt, ale ja z tym nie miałem żadnego kontaktu. Ale pozostał mi w pamięci chłód i głód. Padło słowo, które chciałbym bliżej wyjaśnić. Na pewno zdarza się moim słuchaczom, że mają tak intensywne zajęcia, że któregoś dnia nie zdążyli zjeść obiadu, lunchu w porze obiadowej. I wieczorem na kolację myślą, że są strasznie głodni. To nie jest głód. To jest może zwiększony apetyt, ale głód od września 1939 roku do wyzwolenia przez armię francuską na południu Niemiec w Czarnolesie, w Schwarzwald około 23 kwietnia roku 1945 [1945], czyli przez 5 lat, 7 miesięcy i 3 tygodnie, z jednym jedynym wyjątkiem, cierpieć z głodu. Dosłownie cierpieć. Nie móc zasnąć z bólu w dołku. Ucisk i ból. Dosłownie rano budząc się, cierpiąc bolesny ucisk w dołku. I jedyne, co wypełniało myśli w mózgu, to było jak zrobić coś do jedzenia, żeby zaspokoić ten głód. To jest głód. Wylądowaliśmy, jak wspominałem przedtem, około 21, 22 marca. Nas znowu zebrano na tym placu apelowym, ale jeszcze jedną chwilkę poświęcę, w jakich warunkach nas tam umieszczono. Taki budynek nazwany w Auschwitz-Birkenau blokiem, a tutaj był barak, wejście, po dwóch metrach nowa ściana z drzwiami. Te dwa metry to było miejsce dla blokowego, czyli blockleiter, i jego pomocników kapo. A w tej długiej części głównie to było miejsce dla nas, były te prycze dla więźniów. Wylądowaliśmy po niedługiej podróży w mieście Offenburg. Budynki, już nie baraki, dwa, budynki trzypiętrowe, murowane. Dzisiaj ten lewy to jest prezydium policji w Offenburgu. Baden-Baden, czyli Czarnolas, Schwarzwald. W tym prawym są dwie szkoły. Na parterze Szkoła Podstawowa im. Anne Frank. Dwa górne piętra to Gimnazjum im. Ericha Kästnera, pisarza. I tam ta grupa z Flossenbürga była przeznaczona do usuwania min z torów kolejowych. I wielu przy tym zginęło, bo wybuchały te miny. Mnie zatrudniono na podstawie chyba jakiegoś wywiadu, który mam w tym Bad Arolsen, że mama miała pralnię, do prania bielizny wartowników. Ja byłem już wtedy więcej martwy niż żywy, miałem gorączkę, źle się czułem. I widzę się w łazience, w normalnej łazience, gęsta para, gorąca z tej wanny, powietrze jest prawie nieprzezroczyste. Ja piorę tę bieliznę na tej pralce, którą poprzednio opisałem. I pewnego dnia coś uszkodziłem, zerwałem. I za karę mnie wzięto, położono na stół, związano ręce i nogi sznurem pod stołem. Spodnie ściągnięto i na gołe siedzenie miałem liczyć 25 uderzeń. Nie szpicrutą czy paskiem, tylko rura gumowa wypełniona piaskiem, żeby dać tym uwagę. Przy numerze ósmym straciłem przytomność i ocknąłem się na mojej pryczy. Mogłem tylko na brzuchu leżeć kolejne dni, aż strupki pokryły te otwarte rany. I znów pewnego dnia, bez wyjaśnienia, dlaczego i dokąd, zebrano nas na podwórzu, zaprowadzono na dworzec i tym razem pociąg osobowy był, wsadzono do wagonów, pociąg ruszył bardzo wolno, nagle usłyszeliśmy nad naszymi głowami szum samolotów i eksplozję. Pociąg stanął, lokomotywa była uszko-

dzona. To były samoloty atakujące armii francuskiej. Pociąg stanął, nas wygnano z wagonów i widzę siebie, jak nas prowadzą w las, w pagórki, w górę i w dół. I nagle zniknęli wartownicy. Ku naszemu zdziwieniu w krzakach nagle części ich uniformów, mundurów, te kurtki z takim podłużnym zygzakiem SS i te czapki z trupa główką. My przycupnęliśmy w krzakach i czekaliśmy, nagle były strzały. Pomimo mojego osłabienia jakąś ruchliwość zachowałem, ruchomość, pomogli mi wdrapać się na drzewo, mogłem zajrzeć w dolinę, widziałem, jak wjeżdża lokomotywa od lewej strony, czyli od wschodu, i pociąg zapakowano, widzę ludzi, zbierano znowu, załadowano do tych wagonów. I pociąg [niezrozumiałe] na lewo w kierunku wschodnim. Po wojnie się dowiedziałem z książki Freda Tedlera z Donaueschingen, napisał książkę o tych ostatnich dniach wojny, dokładnie opisuje, co z nami robiono, cały ten przebieg. I tam się dowiedziałem, że planem hitlerowców było zatopić pociąg z nami razem w jeziorze Bodeńskim, ale to się nie udało im. Nad ranem udali się w drogę, skąd pociąg przybył, przeciwną, w przeciwnym kierunku pociąg się udał, i nad ranem zza zakrętu wjechał olbrzymi samochód ciężarowy, na platformie przy karabinie maszynowym czarna twarz z białym turbanem. Myśmy nie wiedzieli, co to jest, jak zawsze coś nieznanego, to lęk. Wskoczyliśmy do lasu, usłyszeliśmy nagle strzał, więc wyszliśmy. Wyszliśmy, ręce poniesione i się zbliżył rostry żołnierz w innym zupełnie mundurze, z pistoletem na nas kierowanym. My pokazaliśmy KL Konzentrationslager, taką farbą wapnianą wymazaną na kurtce, i na głowie pokazujemy wystrzyżone takie pasmo, żeby nas oznaczyć jako więźniów. Myśmy nazwali „promenada wszy”. Jak on bliżej nas zobaczył, ja go widzę jak pana przed sobą, jak rzuca pistolet w powietrze, podchwytuje lewą ręką, wyciąga rękę i mówi: „Comment ça va?”. Nie znaliśmy francuskiego, nie wiedzieliśmy, co to znaczy, ale pokazał: „Idźcie w tę stronę”. Nadeszliśmy i nagle widzimy miasto, nazwa miasta Donaueschingen. Miasto było puste, mieszkańcy gdzieś uciekli. Weszliśmy do paru domów, ubraliśmy się, skarpetki, buty, w bieliznę, kurtkę, koszulę. Ale już widzieliśmy szereg byłych więźniów pracujących przymusowo, wózkami takie stosy rzeczy nagromadzili. I nagle widzimy – „Gospoda pod słońcem”, „Gasthaus Zur Sonne”, byliśmy w jakieś 8 osób. Chyba tutaj możemy się ulokować, bo jak jest gospoda, może by dali jakieś mieszkania? I miałem już jakiś załazek mojego przyszłego zawodu, że ostrzegałem kolegów: „Słuchajcie, jak znajdziemy jedzenie, bądźmy ostrożni, bo nie jesteśmy przyzwyczajeni do wielkiej ilości pokarmów, to może nam zaszkodzić”. Znalazłem trochę mąki, trochę soli, wody zagotowałem i taką paćkę zrobiłem, to jedliśmy. Wieczorem musiałem zejść z tego łóżka miękkiego, bo nie mogłem zasnąć, miałem uczucie, że spadam. Położyłem się, dopiero na podłodze mogłem zasnąć. Po kilku dniach doszły pogłoski, że w sąsiednich miejscowościach tak zwany Werwolf, czyli młodzi fanatycy, naziści, ukatrupili szereg ocalałych z obozów koncentracyjnych. Tak że większość tej grupy opuściła to miasteczko Donaueschingen. Donaueschingen znaczy „początek rzeki Dunaju”. Ja się źle czułem, odszukałem lekarza armii francuskiej. On tylko zapytał: „Gdzie jesteś ulokowany? Aha, tyfus plamisty”. Posłał mnie do szpitala Donaueschingen. Tam wpadłem w jakieś delirium i po paru chyba tygodniach, tyle trwało, ocknąłem się i uznali mnie za zdrowego. Dostałem papierek, że osoba podająca imię, nazwisko takie, takie, urodzona w takim miejscu, w takim dniu była leczona na tyfus plamisty i wypisana jako zdrowy. I stoję przed wejściem do szpitala. Co z sobą zrobić. Nie miałem pojęcia, gdzie się znajduje jakaś osoba mi bliska. Sam na tym wielkim świecie. Przechodzi starszy pan, stanął, tak na mnie popatrzył, zaczęliśmy rozmawiać. Mówi: „Słuchaj, w kolejnej wiosce, 10 kilometrów stąd, jest taka grupa tobie podobnych”. Tam się udałem powolutku na tych słabych nogach. I znowu moje szczęście, grupa około 20 byłych więźniów zorganizowała rowery. Dowiedzieli się już, że w Konstancji nad jeziorem Bodeńskim znajduje się większa grupa ocalanych, jakaś organizacja, więc początek powrotu do życia. I zabrali mnie ze sobą na ramie czy na bagażniku mnie wozili, bo nie dostałem roweru, nie dałbym rady. Przy najbliższej stacji kolejowej konduktor machnął ręką, jak się dowiedział, że je-

steśmy ocalałymi z obozów koncentracyjnych, bo nie mieliśmy ani pieniędzy, ani dokumentów. Wylądowaliśmy nad jeziorem Bodeńskim. Tam zamieszkaliśmy w hotelu Metropol. Na lewo za rogiem, jakieś 50 metrów, był szlaban, przejście do Szwajcarii, bo to miasto mieści się w dwóch państwach, w Szwajcarii i w Niemczech. Wyszukałem lekarza, żeby skontrolował mi stan zdrowia po tym długim pobycie w szpitalu w Donaueschingen, i skierował mnie na rekonwalescencję do sanatorium na półwyspie Reichenau nad jeziorem Bodeńskim. Tam było tak, że siadano, na pierwsze śniadanie, dzbanek czerwonego wina i paczka papierosów Gauloises. Ja poza posiłkami byłem w bibliotece, odkryłem tam dużą bibliotekę niemiecką. Ja prawie nie znam tego półwyspu, rzadko albo prawie wcale nie opuszczałem tego budynku. Siedziałem w bibliotece i czytałem. Sześć lat szkoły podstawowej z dobrymi wynikami, czytać umiałem. Składać literki do słów, słowa w zdania. I z jidysz jakoś udało mi się zrozumieć treść tych zdań, które czytałem. Także opanowałem biernie język niemiecki, ale nie umiałem mówić. Tam był shuttle [trasa] do Konstanz, do miasta. I ja odwiedzałem kumpli co rusz. Pewnego dnia przejechałem i zastałem tam także dwie panie, młode kobiety. Jak słyszały moje nazwisko – Weintraub: „My jesteśmy z Bergen-Belsen. Szukamy ocalałych z rodziny, ale tam spotkaliśmy trzy łodzianki”: Lola, Franka, Mala, moje siostry. Gdybym nie był tego dnia, bo one były tylko tego dnia przejazdem, to kto wie, jak by się moje drogi życiowe potoczyły. Spakowałem manatki, których nie miałem, bo nie miałem żadnych bagaży. Pożegnałem się, powiedziałem „cześć”, bo nie „do widzenia”, i udałem się w drogę do tego DP camp, czyli obóz dla byłych więźniów w dawnym obozie koncentracyjnym Bergen-Belsen, w tej części Niemiec w Dolnej Saksonii, Niedersachsen. Pięć dni trwała ta podróż. Nie mam obrazu, jak nocowałem, z czego się żywiłem, jak spałem, ale dotarłem do miasteczka Celle i tam się dowiedziałem, że jest taki placyk, tam są ciężarówki, shuttle. W tę i we w tę wożą ludzi do byłego obozu. Dotarłem do tego placyku. Ktoś mi pomaga na platformę, patrzy mi w twarz i wywołuje: „Ty żyjesz?”. To był Moniek Milberger, daleki krewny, który właśnie znał tę historię od Felka Kupermana, że był świadkiem, jak mój blok został zamordowany w komorze gazowej. I mówi: „Słuchaj, twoje siostry siedzą w żałobie. Bo Kuperman kilka dni temu im to opisał, jak ty zginąłeś w bloku 10. Ja muszę pójść je uprzedzić, żeby nie dostały szoku, jak zobaczą nagle żywego tego zmarłego małego braciszka”. Trudno opisać tę radość spotkania z moimi siostrami. I tu wreszcie odczułem, że jestem wolnym człowiekiem. Nie byłem izolowanym, jednostką bez oparcia, bez rodziny, bo miałem trzy siostry i byłem członkiem rodziny. I tu zacząłem rozmyślać, co z sobą mogę zrobić. Miałem wyobrażenie, że chcę pracować z ludźmi jako nauczyciel albo lekarz. Przeważało w stronę lekarza. I okazało się, że w tej strefie okupacyjnej brytyjskiej z tych czterech, na którą podzielono Niemcy po porażce hitlerowskich Niemiec, w strefie brytyjskiej wydano zarządzenie, że wszystkie wyższe uczelnie mają zarezerwować kilka miejsc dla ocalałych z Holocaustu. I ja takie miejsce dostałem. Mam to pismo jeszcze, na którym pisze po angielsku, z UNRRY, tej grupy pomagającej nam, że przyznano mi miejsce na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu w Getyndze. I siostry moje, i przyjaciele z tego obozu Bergen-Belsen, który miał dużą grupę, tam byli zwolnieni z wojska żołnierze z Jewish Brigade, Żydzi z Palestyny ówczesnej, tworzyli brygadę i przy boku armii angielskiej walczyli przeciwko armii hitlerowskiej. I tych kilku żołnierzy byłych nami się zajęło, nami młodymi, byłymi więźniami. I się śmiali ze mnie: „Zarozumiały typek, co on sobie wyobraża, zacząć studia w języku obcym po 6 klasach szkoły powszechnej. Z czym do gościa?”. Ja dostałem ten list, z tym papierkiem udałem się do Getyngi, było umówione spotkanie z dziekanem Wydziału Lekarskiego, nastąpiła długa rozmowa, pan dziekan Fryderyk Hermann Rein, profesor fizjologii, krępy, dobronuduszy profesor, który próbował mnie nakłonić do zrezygnowania z tego miejsca, że ktoś inny może to dostać, że bardziej się kwalifikuje: „Przecież nie masz zamiaru naprawdę zacząć studiów bez języka i po tylko sześciu latach szkoły powszechnej?”. Jak dotąd byłem wypełniony jedyną myślą – radością życia. Ja żyję. Mnie nie ukatrupili. Ja

przeżyłem to wszystko i wszystko dla mnie było możliwe. Ja tylko powtarzałem w kółko Maciejowi: „Proszę mi dać spróbować, proszę mi dać spróbować”. Dostałem pismo do dziekanatu: „Na próbę zapisać na jeden semestr. Jeżeli wbrew wszelkim oczekiwaniom uda mi się zdać egzaminy ze wszystkich przedmiotów tego pierwszego semestru, on zobaczy dalej”. I, o dziwo, udało mi się. To jest dość długa historia. Nie będę mówił szczegółów. Bardzo szczegółowo jest w tej książce, wydawnictwo Bellona w roku 2021 wydało książkę „Pojednanie ze złem”. Dziennikarka z Warszawy – Magda Jaros miała długie ze mną rozmowy na ekranie, w Skype programie, godzinami rozmawialiśmy. I jej się udało przelać moje myśli na papier. Rok później wydanie niemieckie, wydawnictwo Wallstein Göttingen, miejsce moich studiów, i w ubiegłym roku w listopadzie wydawnictwo Cadmos wydało książkę po angielsku. A szwedzkie wydanie czeka na druk, tekst już jest gotowy. Tak że tam jest bardziej szczegółowo wszystko opisane. Moje studia mogłem kontynuować aż do czwartego semestru, dostałem pismo z dziekanatu, że przygotowują listę kandydatów do podyplomu lekarskiego, tak zwane fizykiem, przenieść się z przedmiotów przedklinicznych do klinicznych, i nie mogą znaleźć mojej matury. Więc wyjaśniłem im, że niemożliwe znaleźć coś, co nigdy nie istniało. Ale to było już lato roku 1948, po tak zwanym cudzie gospodarczym, planie Marshalla dla pokonanych Niemiec, mądrze zrobione, bo znowu, jak po I wojnie światowej wykorzystać zwycięstwo i poniżyć to państwo, zmuszać do reparacji, czego skutkiem było NSDAP, ideologia hitleryzmu i Hitler, tym razem rozważnie postawili Niemcy na nogi, żeby razem przyczynili się do stworzenia państwa przyjaznego niż załóżek przyszłego konfliktu. Ale powiedzieli mi, że muszę opuścić uczelnię. Bez matury nie mogę dalej studiować. Okazało się, że było wyjście. Dla nich nieprawdopodobne i abstrakcyjne, ale dla mnie nie było nic niemożliwego. Dla byłych żołnierzy niemieckich, wracających do ojczyzny z więzień, z obozów jenieckich jako jeńcy wojenni, stworzono możliwość uzupełnienia wykształcenia, kiedy Goebbels, minister propagandy Hitlera, w roku 1932 wywołał wojnę totalną, zamknął wszystkie uczelnie i ci studenci, byli studenci mogli wszcząć studia, ale po uzupełnieniu matury mogli jako eksterniści przystąpić do egzaminu maturalnego. Ja po złożeniu podania do ministra kultury w Hanowerze dostałem zgodę i miałem w październiku 1948 roku przyjechać do Hanoweru i w gimnazjum Humboldta przystąpić do egzaminu maturalnego. [niezrozumiałe] i piśmienny zaliczyłem. I potem po tygodniu w piątek całe 9 przedmiotów – ustny egzamin. Dali mi pewną ulgę, zamiast języka obcego angielskiego uznali, że dla mnie niemiecki jest językiem obcym, dali mi polski jako drugi język. Z tego nie musiałem się uczyć, ten język znałem. Zdałem maturę, wróciłem do domu i mogłem pokazać synowi. Michał się urodził w styczniu 1948 roku. Ponieważ poznałem Käthe Hoff z Berlina, studiowała języki słowiańskie, szukała kogoś z polskim do konwersacji. Ja szukałem kogoś z niemieckim, żeby mnie uczył niemieckiego. Pobraliśmy się w 1947 roku. Dobra współpraca, bardzo owocna, bo po ślubie urodziło nam się dalszych dwóch synów, Robert w 1952 roku i Andrzej w 1954 roku. Moi synowie mają teraz lat 77, 72 i 70. Käthe Hoff stała się potem bardzo cenioną tłumaczką. Jak w czasie wojny koreańskiej zamknięto wszystkie konsulaty na zachodzie, bo Polska miała stronę Północnej Korei Komunistycznej i wszystkie placówki dyplomatyczne krajów wschodu, krajów Kominternu, satelitów Związku Radzieckiego zamknięto, straciłem możliwość pobytu dalej w Niemczech. Miałem 250 demark, dostałem małe stypendium od konsulatu polskiego w Hanowerze. Wróciłem do kraju niestety sam, bo Polska wówczas nie dała mi wizy wjazdowej dla żony i syna. Dopiero po pół roku udało mi się dostać wizę wjazdową, pojechałem do Szczecina i przyjechała żona z synem. Dostała z miejsca zatrudnienie w „Książce i Wiedzy” w dziale, objęła redakcję czasopisma „Polska”, redakcję niemiecką. Była tłumaczką, bidula siedziała godzinami na zjazdach partii, jak Breżniew 5 godzin gadał, wtedy nie było inaczej, jak tylko tłumaczyła bezpośrednio, bez tekstu. I cały czas te 5 godzin siedziała w tej komórce. Obecnie nie można dłużej niż 20–30 minut, musi nastąpić zmiana. Zawsze się ma tekst przed sobą. Tłumaczyła Ja-

nusza Koczaka dzieła na niemiecki, który dostał Nagrodę Pokojową Księgarzy Niemieckich w 1972 roku. Niestety pośmiertnie także dla mojej żony, bo w rok po imigracji z kraju, we wrześniu 1969 roku, zmarła pierwszego dnia Bożego Narodzenia w 1970 roku. Lat 6 później pobrałem się z Evą Marie, którą pan poznał. Z nią mamy wspólną córkę Emilię, nazwaną Emilią nie od Emilii Plater, ale od naszych imion: Eva, Marie, i Leon, EML, powstała Emilia. Ale to było lat znacznie później. W międzyczasie skończyłem studia w Akademii Medycznej w Warszawie. Dostałem z miejsca pracę trochę jako wolontariusz w I Klinice Położnictwa i Chorób Kobietych na placu Starynkiewicza i 3 godziny dziennie w pracy w ZUS-ie, w przychodni dla kobiet ciężarnych, przychodni dla kobiet. Dopiero 2 lata później, w 1956 roku, zwolniło się miejsce asystenta w klinice. Ja stanąłem do tego konkursu, ponieważ byłem już tyle lat w klinice, ja wygrałem to miejsce. W roku 1966 w styczniu obroniłem pracę doktorską i w tym samym roku, jak się zwolniło miejsce na ordynatora w Szpitalu Powiatowym w Otwocku, ten konkurs też wygrałem, bo miałem doktorat i miałem szereg prac naukowych za sobą. Nastąpiły 3 najlepsze lata mojego życia zawodowego. Ja byłem szefem. Ja decydowałem, jak traktować pacjentki szukające pomocy, jak godnie przyjmować, bo mój wybór specjalności polegał na moim świadomym postanowieniu, biorąc pod uwagę to, co przeżyłem, że byłem świadkiem nieszczęścia, mordowania ludzi, chciałem pomóc do życia, czyli pomóc noworodkom przyjść na świat i kobietom okazać szacunek należny za to, że one są nosicielem naszego gatunku Homo sapiens, bo dzięki nim my mężczyźni przychodzimy na świat. Bo nasz przyczynik do utrzymania rasy ludzkiej, jedynej, która istnieje, homo sapiens, jest bardzo mikroskopowa. Do tego jeszcze obdarzona poczuciem pozytywnym rozkoszy, co nie zawsze ma miejsce u kobiet w momencie zapłodnienia. Ale to był mój tak zwany konik na temat roli kobiet i mężczyzn w utrzymaniu naszego gatunku. I zmieniłem prąd. Zamiast pacjentki z powiatu otwockiego szukać pomocy w Warszawie, pacjentki z całego kraju przychodziły do Otwocka na punkt kierowany przez Instytut Endokrynologii, z którym współpracowałem w czasie pracy w klinice i kontynuowałem współpracę. I to było także jednym z motywów wyrzucenia mnie z pracy w lutym 1969 roku, że po tej rewolcie studenckiej, po zdjęciu ze sceny „Dziadów” i wszystkich konsekwencji stali się znowu kozłami ofiarnymi, kiedy wystąpiły scysje w partii między tzw. paryzantami, komunistami, którzy zostali w kraju w czasie okupacji hitlerowskiej, i tymi, którzy szukali i znaleźli miejsce pobytu w Moskwie, czyli Bierut i Gomułka, te 2 przeciwstawne... No i [niezrozumiałe] wówczas znalazł sposób, żeby jakoś to uspokoić: „Huzia na Żydów”, że my jesteśmy winni wszystkiemu. I brutalnie zwalniano z pracy, otwarte były manifestacje, „Żydzi do Syjonu”, itd. W konsekwencji w lutym w roku 1969 było zebranie partyjne i mnie z pracy zwolniono. O tyle jeszcze pozytywnie, w cudzysłowie, że dali mi 3-miesięczne wypowiedzenie. Ale ja sprzątnąłem mój gabinet, zwolniłem i partia wtedy dała możliwość obywatelom polskim pochodzenia żydowskiego opuścić kraj pod 2 warunkami: wyrzec się obywatelstwa i poprzez pośrednictwo Ambasady Holenderskiej wziąć wizę wjazdową do Izraela. To było obowiązkowe. Ja mając trzech synów, dla mnie wyjazd do Izraela był wykluczony. Byłem egoistą. Ponieważ doliczyłem się, że przed wojną nas było 80 osób najbliższej rodziny, czyli rodzeństwa moich rodziców i kuzynów, a po wojnie nas było tylko 16. Czyli czworo z pięcioro zginęło w czasie Holokaustu, tylko jednemu na pięciu udało się przeżyć ten okres zagłady. To powodowało, że wyjechać do Izraela, gdzie moi trzej chłopcy byliby zmuszeni jak każdy Izraelczyk wstąpić do armii i narażać moich synów na ewentualne uszkodzenia, było dla mnie wykluczone. Zapłaciliśmy dostateczny haracz życiem ludzkim i decyzja była taka, ponieważ także Niemcy wykluczyłem, co byłoby najłatwiej, studia w Niemczech, żona z Berlina, Niemka. Byłoby najprościej wrócić do Niemiec, ale w tym czasie było dla mnie wykluczone, żeby osiedlić się na tej ziemi w Niemczech. Więc wybór padł na neutralny kraj, Szwecję, która potrzebowała lekarzy, otworzyła swoje wrota i z otwartymi ramionami mnie przyjęła. Spakowaliśmy manatki, po bardzo przykrym przeży-

ciu kontroli celnej na Dworcu Gdańskim, gdzie kartkowano każdą książkę, każdy film wąskometrażowy godzinami przeglądano, część książek zabrano, wreszcie mogliśmy wyjechać. Wylądowaliśmy w Sztokholmie, tam Gmina Żydowska się nami zajęła, dała nam przejściowy pokój w hotelu. Już po dwóch tygodniach dostaliśmy mieszkanie przydzielone, bo siostra przysłała mi z Ameryki 5000 dolarów. Mogłem kupić, dać wkład na mieszkanie własnościowe. I nauka języka szwedzkiego, 7 tygodni intensywny kurs, potem 3 tygodnie w Uppsali, organizacja służby zdrowia i nomenklatura szwedzka medycyny. Wysłali mnie na pracę, że po świętach w roku 1970, już w styczniu, w roku 1970 wziąłem samochód i pojechałem na północ, pod krąg polarny. Tam jest miejsce pracy. Koledzy się śmiali ze mnie, zostawiłem rodzinę w Sztokholmie i pojechałem na północ. A ja uważałem, że przygarnęli mnie, dali dach nad głową, zezwolenie na pobyt i miejsce pracy, to nie ja mam stawiać żądania, tylko być wdzięczny za to, a nie żądać od nich jakichś warunków. Ale po roku zwolniło się miejsce w Sztokholmie w Szpitalu Południowym. I żona wtedy, Kätthe, załatwiła mi to miejsce. Przyjechałem i dotąd mieszkam w Szwecji. Jak wspominałem, po roku zmarła mi żona. Po sześciu latach się pobrałem z Evą Marie, urodzoną po drodze. Bo rodzina pochodziła ze Szczecina, jej siostry..., ojciec był z Bydgoszczy, ale w drodze przed Armią Radziecką na Zachód wylądowały na wyspie Rugii, tam ona się urodziła w roku 1944. I rodzina potem zamieszkała w Hannoversch Münden w północnej Hesji, tylko 34 kilometry oddalanej od Göttingen, miejsca, w którym ja zacząłem studia, w roku, w którym ona przyjechała z rodziną do Hannoversch Münden, ja wylądowałem w Göttingen, czyli w 1946 roku. Dalej pracowałem, urodziła się nasza córka, kochana, która jedyna z moich dzieci poszła w moje ślady. Jest ordynatorem w szpitalu klinicznym w Sztokholmie, Karolinska Institutet. Człowiek z dużym sercem i bardzo otwarty mózgiem. Ma dwie dziewczynki. A w sumie moi chłopcy teraz są już starszymi panami, dziadkami. Mam 10 wnuków i co wiem, 9 prawnuków. Bo wiem dokładnie, ile dzieci ma nasza córka, ale ile moi chłopcy mają dzieci, to jest sprawa otwarta. Ale to, co wiem, 9 wnuków. Najstarszy wnuk ma lat 53, najstarsza prawnuczka, jego córka, córka Filipa, Emma, ma lat 19. I jest szansa dla mnie, ponieważ mi się nie spieszy, ja wiem, że państwo szukają nas, ocalonych, żeby jeszcze uzyskać oświadczenia ludzi, którzy przeżyli te czasy, nie tylko czytali o tych czasach, ale mi się nie spieszy. Tak że ja za 3,5 miesiąca przekroczę setkę. Jestem człowiekiem reformy, a nie rewolucji. Rewolucja jest za droga, oczywiście za droga życie ludzkich. To jest niedopuszczalne. Jestem reformistą, krok po kroku wprowadzę zmiany. Na ten wiek jestem w dobrym stanie psychicznym. Kieruję swoim postępowaniem, mózg jest czynny, ciało próbuje dotrzymać kroku. I na tym właściwie kończę sprawozdanie mojego długiego, aktywnego życia. Co mogę dać na drogę wnioski mojego długiego życia, jakie wyciągnąłem, to jest kilka rzeczy. Współczesna medycyna wykazała, badając DNA, nasze dziedzictwo genetyczne, że jest tylko jedyna rasa ludzka, homo sapiens, i tym udowodniła, że teoria rasizmu, na którym się opierała cała ideologia nazistów, wyznawców partii NSDAP, Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei, która w skutkach swojej ideologii spowodowała tyle nieszczęścia na świecie. I ta teoria pada płasko na dno, ponieważ nie jest naukowa, nieudowodniona. Jesteśmy tylko jedną rasą homo sapiens, pomimo że, jak uważam, zachowały się niektóre osobniki z mózgiem neandertalów. Druga sprawa, jako lekarz położnik, ginekolog, chociaż wolę lekarz chorób kobiecych, jeżeli operowałem pacjentkę, jakkolwiek miała kolor skóry, tkanka pod skórą była identyczna u każdej operowanej pacjentki. I trzecia sprawa. Noworodki, którym pomogłem wyjść na świat, główka się wyłania z łona matki. W tym mózgu nie ma poglądów, a nie ma także uprzedzeń. To wszystko władowane przez najbliższe otoczenie, potem szkołę, potem pracę zawodową. Jeżeli możemy wpłynąć na te uprzedzenia, to tylko u młodzieży, bo u dorosłych są, że tak powiem trochę może wulgarnie, zakute łby. Trudno, jak obecnie nie widzę możliwości dialogu z wyznawcami tej grupy PiS-u. Oni są tak przekonani o swoim, że nie ma możliwości wymiany zdań. Zapytał mnie kiedyś słuchacz,

student: „Chciałbym bardzo pracować w imieniu demokracji, ale napotkam na członka radykalnej prawicy”, w Niemczech to jest AfD, Alternatywa dla Niemiec. „Jak mogę zacząć z nim rozmowę, jak sprawdzić, czy jest szansa jakaś?” Mówię: „Bardzo proste, jedno pytanie tylko. Zapytaj go, czy mając swoje poglądy, w imieniu swojej świadomości, czy w imieniu tych poglądów jesteś w stanie mnie zamordować? Jak powie »tak«, to odwróć się od niego i powiedz: »Ze zbrodniarzami ja nie rozmawiam«. Jak powie »nie«, to jest szansa rozpoczęcia rozmowy”. Taka jest moja rada. Jeszcze sprawa ekonomiczna. Każdy rząd każdego państwa długo obraduje co roku nad budżetem, nad wydatkami, jak zaoszczędzić, jak skrócić wydatki, poza jednym wydatkiem – na obronę, na uzbrojenie. Ile to kosztuje wychować, wykształcić żołnierzy, mundury i produkować albo kupić broń, a jaka jest cena życia ludzkiego, które padnie, kiedy jest próba rozwiązywania konfliktu nie przez mowę, którą nam ewolucja dała, porozumienia, ale na wzajemnym zabijaniu się. Ta próba rozwiązywania konfliktu tylko pogłębia konflikt, a nie przybliża rozwiązanie. Dlatego książkę naszą nazwaliśmy „Pojednanie ze złem”, ponieważ ja jako zwycięzca w prawdzie, a nie ofiara, ale jednak uszkodzony, potępiany, prześladowany przez ideologię hitlerowską, uważam, że nie jestem w stanie wybaczyć tym sprawcom, co tyle zła wyrządzili. Ale próbować jako humaniści, jako myślący ludzie, zakończyć tę spiralę zła wzajemnych zarzutów i po zrobieniu jakiegoś rachunku salda próbować iść dalej pokojową drogą do zakończenia tej spirali zła. To jest utopia może, ale moimi duchowymi przodkami są prekursorzy, poprzednicy rewolucji francuskiej. I te trzy słowa: liberté, égalité, fraternité, czyli wolność, równość i braterstwo, to są wypełnione treścią. Ja żyłem, próbując żyć tymi trzema słowami. Jestem u schyłku mojego życia, bo jako lekarz jestem świadomy, że moje życie jest ograniczone. Ja czuję się dobrze, nie mam zamiaru opuszczać. Życie dobre mi się dzieje, jednak wiem, że życie ma swój kres, i ciągle myślę o słowach mojej matki, która mówi: „Ludzie są chciwi, i to dziwne, bo przecież zgrzebna koszula nie ma kieszeni, nic z sobą nie zabierzesz. To po co tracić tyle energii na zdobywanie, bogacenie się?”. I stąd mam też to nastawienie skromności pewnej, ograniczania. Ale najważniejsze, że to, że przeżyłem teatr życia, powoduje, że ja wykreśliłem ze słownika kilka słów. Mianowicie słowo, którego w mojej obecności nikt nie wypowiada z moich bliskich, zaczyna się na „n”, kończy na „ść”. Bo to słowo wyrządziło tyle szkody między ludźmi. I drugie słowo zaczyna się na „r”, kończy się na „ańz”, bo jeżeli ja wyrządzę to samo sprawcy, co mnie wyrządził, to się zniżam na jego poziom, a tego nie chcę. Szanujmy się nawzajem, bądźmy dobrzy nawzajem, bo życie ze sobą w zgodzie, tak samo państwa, które żyją ze sobą obok siebie, zaoszczędzają na wydatki wojskowe tyle, ile można było dobrego za to zdziałać. I w tej myśli życzę wszystkim moim następcom w życiu dobrego życia. W czasie mojej pracy zawodowej i studiów przed tym moje życie było wypełnione. Uważałem, że muszę się nadwyrężyć trzykrotnie w porównaniu z normalnymi studentami, ponieważ nie miałem żadnego przygotowania. I potem w pracy zawodowej były tak intensywnie, że tylko wyjątkowo brałem udział w pewnych akcjach dotyczących sprawy Holokaustu. To było w Szwecji w czasie pracy. W Polsce nigdy nie występowałem. Miałem tylko krótkie, tylko telefon z Ministerstwa Zdrowia: „Mamy delegację z NRD, pani minister zdrowia z Niemiec przyjechała i prosi mnie pan doktor, pan miał studia w Niemczech, żeby jej towarzyszył znający język niemiecki”. Wtedy odwiedzamy i Treblinkę, i Majdanek, i Auschwitz-Birkenau. Albo przyjeżdżali towarzysze partyjni z SED, tak samo dzwonili do mnie, dawali mi urlop i towarzyszyłem tym grupom, znałem języki niemiecki. Ale potem w Szwecji, dopiero po przejściu w stan emerytury, w wieku lat 65, następne 5 lat pracowałem jeszcze 10 godzin tygodniowo, 2 dni w tygodniu, żeby zarobić pieniądze na studia naszej córki, żeby nie musiała się zadłużać pożyczką państwową. Wtedy zacząłem coraz częściej brać udział w akcjach Związku Ocalałych Szwecji w całym kraju, aż na północ, do Umeå, w różne miasta. I sobie wypracowałem i treść, i sposób przekazu, który jak się przekonałem, są udowodnione, dociera do moich słuchaczy, że chętnie mnie zapraszają.

Głównie dwa państwa, kieruję do słuchaczy Polska i Niemcy. Tam są ci adresaci mojego przekazu. I dowodem tego, że chętnie słuchają i przyjmują do wiadomości, to, że coraz więcej mnie zapraszają. Także dlatego, że w moim wieku robi się bardzo pusto wokół mnie, moich rówieśników. Mój szczerzy, dobry przyjaciel Marian Turski, on pierwszy wystąpił w styczniu tego roku w Auschwitz-Birkenau na rocznicę wyzwolenia obozu. Ja byłem czwarty z czworga przemawiających. I niestety Marian wtedy był w złym stanie zdrowia, krótko potem zmarł. Ja jestem jednym z niewielu jeszcze nie tyle zdolnych tylko do podróży, ale także zdolnych jeszcze do wygłaszania sprawozdania mojego życia z moimi wnioskami i myślami. I mam szereg odznaczeń, które tutaj trudno wyliczyć. Miałem setki rozmów w Niemczech w szkołach, także dla dorosłych. Udział w zjazdach na temat Holokaustu. I chciałem podkreślić, że kiedy jest jakieś przewidziane honorarium, jeżeli to jest telewizja czy radio, czy jakieś czasopismo, to do ostatniego grosza idzie na grupy, które ja popieram. Chór Dziecięcy Miasta Łodzi, Centrum Dialogu w Łodzi, Muzeum POLIN w Warszawie, Forum Dialogu Między Narodami w Warszawie i w Niemczech, to są cztery grupy, które ja popieram. Maksymilian Kolbe, zrzeszenie we Fryburgu, [niezrozumiałe] Stanisława Hans z działem Podróż Kształcące, którym towarzyszę w Polsce. Jest grupa młodych Niemców, Wtórni Świadkowie, którzy moje sprawozdanie spisali i przekazują to w szkołach niemieckich. Czuję się bardzo dumny z tego, że udało mi się w miejscu urodzin mojej matki, jej rodzeństwa, stamtąd pochodzi rodzina mojej mamy, Dobra koło Turku, między Kaliszem a Łodzią, stworzyć miejsce pamięci wspólnie, podkreślam, wspólnie z zarządkiem miasta. Razem z Radą Miejską. W roku 2008 było otwarcie tego miejsca pamięci i co roku odwiedzam to miejsce. W Łodzi także udało nam się za pośrednictwem fanatyka, który się jakoś zawziął na mnie pozytywnie, i pierwsze kamienie pamięci – stolpersteine w Łodzi, 24 sierpnia ubiegłego roku zamontowano przy miejscu naszego mieszkania na Kamiennej 2, w Łodzi obecnie Włókiennicza 2. Trzecia rzecz – 30 sierpnia tego roku w Łodzi zostałem uhonorowany tytułem Honorowego Obywatela Miasta Łodzi. Otrzymałem klucz do miasta, dość ciężki. Zaskoczony byłem, ale i zadowolony, że mnie, chłopaczka z Bałut w Łodzi, z ubogiej dzielnicy, ubogiej rodziny żydowskiej, dostałem tych zaszczytów. Mam tak zwane kamienie milowe w moim życiu. Jednym z nich jest także wystąpienie w Norymbergi w Centrum Informacji o Partii Hitlerowskiej, centrum dokumentacji poświęcone nie Holokaustowi, okresie zagłady, tylko właśnie historii nazizmu. Tam miałem przemówienie w sali, gdzie Hitler przemawiał do swoich fanatyków, jego zwolenników. Tam miałem przemówienie do obecnych na tej sali. To są uczucia nie do opisania, zadowolenia, że ja przeżyłem i miałem takie życie, i to, co było typowe dla szeregu moich przyjaciół, że także przeżyli ten okres zagłady, obsesja w cudzysłowie na temat bycia użytecznym, dzielić sobą, moimi, naszymi wiadomościami w sensie w życiu. Ja kolegów młodszych zawsze uczyłem, przekazywałem to, że nie musieli potem krwią, wysiłkami zdobywać doświadczenia. Jak udało mi się przekazać moje doświadczenie młodym kolegom, to byłem zadowolony. Tak żyć nie tylko sobie, ale dzielić sobą innym ludziom. To są te 3 takie fakty, o które pan prosił, żeby wspomnieć.